

Na początku musi pojawić się idea, inspirujący pomysł, który może okazać się czynnikiem twórczym, mobilizującym do podjęcia celnej artystycznej decyzji. Może, ale nie musi... Przecież to całkowicie zapomniane wydarzenie, gdy w Teatrze Miejskim w Gliwicach wystawiona została „Carmen”, mogło nie tylko nie mieć żadnych następstw, ale nawet nie doczekać się w ogóle uwagi, jak wiele innych kronikarskich faktów z obszarów kultury, co by w tym przypadku nie sądzić – o lokalnym znaczeniu. A jednak stało się i te dwie odległe w czasie daty: rok 1906 i 2006 wiązać będzie teraz w tym miejscu – od premierowego wieczoru 2 czerwca br. – fascynujący łuk pt. „Carmen”. Lecz odąd niewątpliwie pojawiają się następne, nacechowane podobnym rozmachem inicjatywy, skoro ta, odkryta i przywrócona przed 10 laty życiu artystycznemu przestrzeń, ma już swoją legendę wpisaną w intrygujące pojecie: Teatru w Ruinach.

Do tego stanu został doprowadzony ten usytuowany w centrum miasta gmach w marcu 1945 roku, gdy podczas pijackiej libacji żołnierzy radzieckich, którzy rozpalili tu ognisko, ten ledwo co odremontowany i rozbudowany, z nowym efektownym wystrojem – teatr spłonął. Musiało upłynąć pół wieku, gdy miejsce to postanowiła przywrócić sztuce, właśnie w tym kształcie zastanym – jako Teatr w Ruinach – Ewa Strzelczyk, założycielka Fundacji Odbudowy Teatru Miejskiego w Gliwicach, która zorganizowała tu w roku 1966 cykl imprez zatytułowany „Łato z muzami”. I tak rozpoczęła się nowa historia tego odzyskanego artystycznego adresu. Dwa lata później inicjatorka śmiałego przedsięwzięcia zginęła jednak w okolicznościach tragicznych, lecz pamięć jej zasług trwa. Jeśli można mówić o wyczuwalnym genius loci tego miejsca, to tego wieczoru byliśmy uczestnikami nie tylko ważnego doświadczenia artystycznego, ale i przeżycia duchowego, gdy doszło do wyczuwalnej kumulacji wielu wątków i doznań związanych z powrotem po stu latach „Carmen” w te mroczne mury, w dziesięć lat po śmierci Ewy Strzelczyk, której zasługi honoruje pamiętanka tablica.

Już sama zapowiedź realizacji w Teatrze w Ruinach „Carmen” przez Gliwicki Teatr Muzyczny wywołała niemałe wrażenie. To arcydzieło, zaliczane do najwspanialszych pozycji w całym repertuarze operowym, stawia nie tylko ogromne wymagania wykonawcze, których spełnienie określa za każdym razem skalę artystycznych i technicznych trudności. Trzeba także mieć na uwadze powszechną znajomość, jeśli nawet już nie całego dzieła, to popisowych arii i duetów zaliczanych do podstawowych pozycji najświetniejszych śpiewaków. No i rzecz najważniejsza: ta arcyopera Bizeta, obecna od 130 lat na scenach całego świata jest odbierana wciąż jako dzieło na swój sposób współczesne, przejmujące żywą prawdą emocjonalnych napięć i drapieżnym realizmem nieodwracalnego tragizmu.

Decyzja wystawienia akurat „Carmen” w przestrzeni ruin i wypalonej sceny dawnego teatru miejskiego była w tych okolicznościach niewątpliwie odważna, ale i z wielu względów nader ryzykowna. Ten ambitny teatr, poszerzający co sezon granice swoich



Foto: ARC Gliwicki Teatr Muzyczny

Małgorzata Walewska – Carmen i Marcello Bedoni – Don José.

„Carmen” w ruinach teatru

OPERA

artystycznych aspiracji, jak dotąd nie porwał się aż na tak śmiałe zamierzenie, wymagające nadzwyczajnej organizacyjnej i artystycznej mobilizacji. Przecież doprowadzenie tej premiery do skutku wymagało zaangażowania wielu artystów, w tym niemal wszystkich do ról czołowych oraz wzmocnienia własnych zespołów. Na pewno nie zabrzmiaby z równą mocą własny chór gdyby nie wsparcie Zespołów Wokalnych Akademii Muzycznej w Katowicach, a te młode głosy miały znaczny wpływ na precyzję i jakość brzmienia.

Decydujące znaczenie miało jednak pozyskanie do partii tytułowej Małgorzaty Walewskiej – młodej, o świetnej prezencji i międzynarodowej już pozycji mezzosopranistki, która jest dziś niewątpliwie pierwszą polską Carmen, następczynią w tej roli Krystyny Szczepańskiej, Krystyny Szostek-Radkowej i Stefanii Toczyskiej. Równie celnym pomysłem okazało się zaangażowanie młodego włoskiego tenora, znanego z gościnnych występów w Teatrze Narodowym w Warszawie, który dysponuje pięknym głosem i aparacją filmowego amanta – bo czy można było jeszcze lepiej obsadzić partię Don Joségo? Lecz skoro udało się pozyskać tak znakomitych odtwórców dwu głównych ról, również ich dublerzy musieli prezentować odpowiedni poziom a także wykonawcy pozostałych czołowych partii. W podwójnych obsadach znaleźli się więc znani śpiewacy z polskich teatrów operowych, w tym Małgorzata Długosz (świetna Micaela), Rafał Songan (znakomity Escamillo) i Bogdan Kurowski (pyszny Zuniga). Także postaci z drugiego planu obsadzone były z widoczną starannością, chociażby Magdalena Wilczyńska-Goś. Słowem, co rola i partia – obsada trafna pod względem wymagań aktorskich i wokalnych.

Lecz nawet najświetniejszy skład solistów i rzetelny poziom zespołów nie gwarantuje jeszcze wykreowania ambitnego przedsta-

wienia, skomponowanego w tej „magicznej”, ale i ryzykownej przestrzeni jaką stanowi rozległa, półkolista, obwiedziona dwupoziomową kondygnacją, surowa scena, nosząca ślady pogorzeliska – gdzie po raz pierwszy miała teraz zostać wystawiona opera... i to pozycja tak wymagająca jak „Carmen”. Trafną decyzją było powierzenie reżyserii Pawłowi Szkotakowi, aktualnie dyrektorowi Teatru Polskiego w Poznaniu (laureat „Polityki” za rok 2004), wcześniej założycielowi i liderowi Teatru Biuro Podróży, twórcy plenerowych megawidowsk, który zadebiutował właśnie w Gliwicach jako inscenizator spektaklu operowego. Szkotak w żadnym stopniu nie nawiązał do istniejących wzorów, bo też jego „Carmen” nie rozgrywa się w teatrze z normalną sceną. Reżyser akcję opery przeniósł z XIX-wiecznej Sewilli do Hiszpanii lat 30. z dramatycznego okresu wojny domowej. Wykorzystał w ten sposób atmosferę narzuconą przez wnętrza wypalonej sceny, jakby napiętnowanej śladami wojny, akcentując los gliwickiego teatru. Lecz nawet to nawiązanie nie jest sugerowane wprost. Zresztą odstępstwa od treści libretta są w sumie niewielkie choć żołnierze noszą mundury z formacji generała Franco a operowi przemysłowcy są tutaj partyzantami, którzy mają przenieść niebezpieczny ładunek przez góry.

Głównym atutem inscenizacyjnym spektaklu jest sama scena i jej obolała surowa przestrzeń. Reżyser wykorzystał naturalne obniżenie poziomu sceny w stosunku do stromo zabudowanej widowni inscenizując akcję symultanicznie, z wykorzystaniem kilku planów. Wciąż dzieje się wiele przy wykorzystaniu również multimedialnych efektów. Wrażenie to potęguje choreografia Jacka Badurka, która nie tworzy odrębnych sekwencji, lecz narasta i rozwija się, od pojedynczych inicjacji w żywiołowe, ekstatyczne sceny. Bo najważniejszy jest sam dramat i jego nieodwracalny bieg, gdy wypełni się los Carmen, który zapowiadają karty – a wcześniej scena z teatru marionetek z Don José (w czerni) i Carmen (w czerwieni).

Małgorzata Walewska w roli tytułowej porywa, urzeka i wzrusza. To kreacja doskonała, rozpisana w szerokiej skali, od dziewczęcego wręcz liryzmu, po demoniczny wybuch bezwzględnej odręczenia oszalełego kochanka. Co scena – to przykuwająca, chociażby popisowa z kastanietami, gdy tańczy bosu. Jej godnym partnerem jest Marcello Bedoni, z natury tenor liryczny, o wielkiej muzykalności i świetnej technice, z imponującymi możliwościami w górnym rejestrze i popisowymi fermatami. Co za ekspresja – czysty żar! No a postać... wysoki, wspaniale zbudowany (był komandos), jest prawdziwym Don Josésem nie tylko ze względu na kreację wokálną.

Trzeba mocno podkreślić zasługi kierownika muzycznego Tomasza Biernackiego w przygotowaniu spektaklu tak rzetelnie dopracowanego w odczytaniu partytury. Orkiestrę prowadził skoncentrowany, bez egzaltacji, panując nad przebiegiem spektaklu, choć muzycy ustawieni bokiem do sceny nie ułatwiali koordynacji.

Gliwickie wieczory z „Carmen” były nie tylko artystycznym wydarzeniem, ale ujawniły także nowe możliwości Teatru w Ruinach.

TADEUSZ KIJONKA